

Beczka mojego Diogenesa

– I pozdrów ode mnie swojego męża. I odwiedź nas kiedyś koniecznie! I napisz, jak zajechałaś!... – krzyknęła jeszcze, ale kierowca już zamknął drzwi autobusu (zatrzasnął, dałaby głowę, że złośliwie zatrzasnął, chociaż wiedziała oczywiście, że to sprawa automatu, mechanizmu), już włączył światła (zierzchła się, toż to dopiero początek maja), już wolno ruszył, już zaczął kołować, zakręcać łagodnym, szerokim łukiem.

Liniowy autobus z Olchowca do Radzyna, „odjazd 17 minut 45, przyjazd 18 minut 23” (o ile nie ma spóźnienia, a ono jest często), sapnęła teraz ciężko, przysiadł na moment, odetchnął głęboko i wytoczył się z placu dworcowego na główną ulicę miasteczka.

„Główna ulica”. „Ulica główna”. „Main street”. „Hauptstrasse”. „Prospekt”. Ech.

– *I pozdrów ode mnie swojego męża.* Którego wcale nie znam – powiedziała cicho do siebie Joanna i rozłożyła parasol. Zimny deszcz znów zaczął siąpić. „Boże, ale wiosna. Widocznie niebo i Góra płaczą za Olgą”. – *I odwiedź mnie kiedyś koniecznie.* Ja tu przecież zawsze jestem, zawsze – dodała i wzruszyła ramionami – bo jestem tu, ile to?, trzydzieści osiem lat. Od trzydziestu ośmiu lat tkwię w tej dziurze. Doczekałam emerytury, doczekam pogrzebu. Jak ta biedna Olga. Ciekawe tylko, kiedy? *I napisz.* „No tak – zreflektowała się – a ja głupia nie dałam adresu...” – zatrzymała się gwałtownie. Brudna, tłusta woda z wielkiej kałuży poleciała wprost na spódnicę jej ciemnego kostiumu. Jedyne ciemnego, jedyne eleganckiego, po prostu – jedyne przyzwoitego kostiumu.

„Jak ja się teraz pokażę ludziom! Nic, cholera, tylko do czyszczenia. Znowu wydatek”, przemknęło Joannie przez głowę.

– No niechże pan uważa! Kretyn! Jak tak można chodzić! Dam panu do zapłacenia rachunek z pralni – otrzepując ręką krople wody rugała mężczyznę, który zapewne wysiadł przed chwilą z drugiego autobusu, który dopiero co nadjechał od strony Radzyna (widziała pojazd kątem oka, gdy żegnała się z Broszkiewiczową). Starszy („musi być w moim wieku, nie, chyba trochę młodszy”), niewysoki mężczyzna szedł szybko prosto przed siebie, nie zważając na kałuże, podpierał się krótkim kijem („kij, żadna laska, tylko zwykły sękaty, ucięty w lesie kij”), z ramienia zwisał mu duży, marynarski worek z grubego, zgrzebnego lnu. Człowiek ubrany był byle jak; Joanna krytycznie spojrzała na jego lichy, wytarty płaszcz i wielkie, zniszczone trzewiki („to tymi okropnymi butami tak chlapie, nic dziwnego, zelówki całkiem odeszły. To jakiś menel, zwyczajny menel”).

Nic nie mogło ująć uwagi Joanny, która trzydzieści trzy lata przepracowała w miejscowym liceum i sztukę obserwacji oraz metody błyskawicznej lustracji drugiego człowieka opanowała bezbłędnie. A człowiek przeszedł jeszcze ze trzy-cztery kroki, przystanął i obejrzał się za siebie.

– Idę do portu, nad rzekę. Pewnie spędzę tu parę miesięcy, niech więc rachunek pani tam podrzuci. Pytać o Mateusza, o Mata; ludzie zwykle mówią mi „Mat”, „M jak matros”. Rozejrzał się wkoło i skrzywił się: – Cholera, ale trafiłem. O, olchowczanie, zamknijcie czym prędzej bramy, żeby wam miasto nie uciekło... – podrapał się w czoło – namiar mam taki: „Z dworca autobusowego (kolejowego przecież nie macie – Mateusz mrugnął do Joanny), więc z autobusowego ulicą w prawo do Rynku, potem ulicą Ogrodową w dół do rzeki...”. Czy dobrze się kieruję, paniusiu? Jakże tam pani na imię?

Zamachnęła się parasolem, ale mężczyzna uchylił się, udając przerażenie zasłonił ręką z kijem, jakby fechtując szykował obronę, zaśmiał, odsunął jednak trochę dla bezpieczeństwa, uklonił w końcu niedbale, machając kijem jak kapeluszem z piórami i ruszył szybko w swoją stronę.

„Ile taki kij może mieć funkcji? A może nie menel?”

– Żegnam, a rachunek przesłać nad rzekę, paniusiu! Już ciemnawo, a ja jeszcze muszę znaleźć jakieś miejsce do spania – rzucił, nie odwracając się. I dodał (chce ją zdenerwować do reszty): – Macie tu jakie dziewczyny? Przydałby się miękki wkład do śpiwora. A może...?

Poczęstunek dla gości pogrzebowych jeszcze trwał „Pod gontami”, ale Joanna wymknęła się dyskretnie, wsiadła do samochodu i wróciła do domu. Zdjęła żakiet i poplamioną spódnicę, obejrzała pod światło (nie jest tak źle, wysuszy, a jutro spróbuje wyczyścić twardą szczotką), naląła kotu trochę mleka, a sobie kieliszek taniego włoskiego wina i w szlafroku usiadła przed telewizorem. Oglądała coś przez chwilę, wyłączyła głos, upiła spory łyk i zmęczona przymknęła oczy.

Śmierć Olgi, koleżanki z pracy, a zarazem przyjaciółki, przyjęła spokojnie. Emerytowana dyrektorka liceum zachorowała zimą, niedługo po rozstaniu się z murami szkoły; szybko zorientowano się, że to jeden z przypadków zupełnie, ale to zupełnie beznadziejnych, w których idzie tylko o to, żeby człowiek miał łagodną, pogodną śmierć. Doktor Jamróz pocierał bezradnie brodę i rozkładał ręce; siostry Natasza i Aneczka zabrały więc Olę ze szpitala i ta śmierć, łagodna i wyzwalająca przyszła do niej w miejscu najbardziej do tego odpowiednim – jej ukochanym „Domu pod gontami”, w dolinie pod Górą, w domu, w którym tyle lat mieszkała wraz z siostrami, a którego po odejściu ojca była dobrym duchem i

gospodarzem. Joanna odwiedzała Olgę w chorobie prawie codziennie; z miasteczka było tam niedaleko, jakieś piętnaście minut samochodem, a wolnego czasu Joanna miała aż nadto (tego jednego przynajmniej jej nie brakowało). Olga odeszła nad ranem, ranek był bezgłośny, tylko deszcz szemrał, ptaki z doliny spały jeszcze, zniechęcone kapiącymi wszędzie kroplami, więc i ona umarła cicho, bezszelestnie. Joanna płakała potem cały dzień z jej siostrami i przyrodnim bratem Dionizym tak samo – cicho, bezszelestnie.

Pogrzeb Olgi zgromadził chyba pół miasteczka. Zaskoczona trochę tłumem Joanna zauważyła też sporo twarzy zupełnie jej obcych lub takich, które z trudem przebijały się przez mgłę niepamięci. Podeszła do jednej z takich osób, gdy już skończono składać kondolencje i gdy cisza stała się zbyt dokuczliwa. Marta Broszkiewicz była, jak i Olga, historykiem, od lat pracowała w Krakowie w Instytucie PAN-u i czasami odwiedzała w Olchowcu dawną koleżankę ze studiów. „Ja też panią pamiętam i znam z listów Olgi. Musiałyśmy kiedyś spotkać się ‘Pod Gontami’. Dawno tu już nie byłam, ale utrzymywałyśmy listowy kontakt pomimo upływu niszczącego wszystko czasu. Jednak nie wszystko on – jak widać – potrafi przetrwać. Na stypę nie pojedę, muszę przed nocą być w Krakowie, ale filiżankę gorącej herbaty chętnie wypiję. Autobus mam przed szóstą. Pamiętam taką miłą cukiernię, gdzie mają doskonały sernik. Niedaleko rynku. ‘U Emilii’, o właśnie. Porywam panią na chwilę. Cieszę się, naprawdę się cieszę. Tyle przez te lata słyszałam o pani od naszej drogiej Olgi, poza tym – zdaje się – mieliśmy wspólnych znajomych. Pamięta pani Jakuba? Olga chyba jeszcze wtedy u was nie pracowała...”

Światu powoli przywracano barwy. Zrobiło się cieplej, jaśniej. Nużący, męczący wszystkich deszcz opuścił już chyba na dobre okolice Góry. Lipową aleją wzdłuż rzeki Joanna chodziła prawie codziennie na grób koleżanki, czasem sama, czasem z którąś z sióstr Olgi; cmentarz (właściwie dwa cmentarze: większy katolicki i mały ewangelicki) leżał tuż za miastem na niewielkim wzgórzu. Aleja koło portu rozdawała się, jej prawa dorodniejsza córka zbiegała rażno do mola i portowych zabudowań, lewa, słaba i wątła, pięła się mozolnie pod górę do bramy cmentarnej, w szpalerze głogu i berberysu. Modląc się za duszę Olgi, zapalając lampki, poprawiając wymięte wstęgi i przywiedle wieńce, układając nowe kwiaty, Joanna obserwowała mały port rozłożony u stóp wzgórza. Po zimowo-wczesnowiosennym śnie był już zupełnie rozbudzony. Do nabrzeża przybijały od czasu do czasu barki, pracownicy portowi wynurzali się wtedy z drewnianych budyneków i metalowych pakamer, chwyтали rzucane cumy, przetaczali, przesuwali, przenosili przywiezione lub przeznaczone do ekspedycji ładunki. Pokrzykiwali na siebie, że za wolno im idzie, na tych,

którzy przyłączyli, że za mało pomagają, na rzekę, że za bardzo jak tę porę roku niespokojna, na słońce, że za słabo grzeje, na wiatr, że za mocno dmucha, na szefa portu, że taki z niego szef, jak z tych ludzi na barce marynarze, czyli jak z koziej... Robiło się gwarno i wesoło, więc nawet stare, zmęczone cmentarze zaciekawione nadstawiały uszu, podsłuchując to i owo z portowych hałasów.

Maj miał się ku końcowi. Któregoś słonecznego przedpołudnia Joanna zauważyła wśród kręcących się nad rzeką ludzi jej „znajomego” z autobusowego dworca, Mateusza bodajże, owego Mata, „M jak matros”, tego łobuza, który omal nie zniszczył jej pięknego kostiumu. Nie wiadomo dlaczego widok „menela”, jak go wtedy, w dniu pogrzebu Olgi, nazwała, przywrócił Joannę do rzeczywistości. „Czas otrząsnąć się z przygnębienia i posłuchać, co piszczy w olchowieckiej trawie”. Od czasu, gdy przed trzema laty przeszła w stan spoczynku (fe, cóż to za okropne słowo) jej wiedza o najbliższym świecie pochodziła głównie z gospody na rozstajach przy zjeździe w dolinę, który prowadzili jej starzy znajomi Henryk i Marta, lub z kawiarni Emilii. „Tak, warto zajść do Emilki na kawę, a może i coś mocniejszego. To najlepsza wywiadownia w mieście, więc może czegoś się dowiem o tym łobuzie. Czy jej się zdawało, czy przedwczoraj w sklepie ktoś o nim opowiadał? No, nie będzie oczywiście słuchała tego, co ludzie w kolejkach plotkują. Zaraz, zaraz, dzisiaj aptekarz też wspominał o tym człowieku. Śmieszne jakieś rzeczy, dziwne jakieś historie...”

Dziwne historie okazały się bardzo dziwne. Emilia postawiła przed Joanną dzbanek kawy, koszyk z pachnącymi maślanymi bułeczkami i duży, pękaty kieliszek jarzębiaku. Usiadła naprzeciwko.

„Olga też lubiła te bułeczki. Ot, była i już jej nie ma. To jedno, co w życiu pewne. Wiesz co, i ja napiję się kawy. O niego pytasz? To nic nie słyszałaś? Gdzie ty żyjesz? O, jest o czym opowiadać, jest. Całe miasteczko tylko o nim mówi.

Jak tylko się zjawił, zaraz ktoś rozpuścił wieść, że ‘nowy’ jest poszukiwany listem gończym przez policję i tu w Olchowcu próbuje się ukryć. Akurat parę tygodni wcześniej puszczono w obieg w Krakowie i okolicach fałszywe pieniądze; podobno nie do odróżnienia, nic a nic. W Radzynie też się parę sztuk trafiło. Wezwali go więc na komisariat, ale wyjaśniło się, że jest czysty i nie ma nic wspólnego z tymi banknotami. Parę dni jednak w areszcie przesiedział. Będzie miał wreszcie komendant co do raportu wpisać. Pogrozili mu na koniec jeszcze (niech wie – mają go na oku), że włączę go do tolerować nikt nie będzie i ‘gdyby co’ – przepędzą na cztery wiatry. ‘A ja was wtedy skazę na zostanie tutaj’. Tak się im odszczeknął, Eugeniusz mi mówił, ten młody aspirant.

Mieszka w... beczce. Nie jest to prawdziwa beczka, ale beczka przerobiona na kiosk. Pamiętasz, Joanno, grzybki z piwem i słodyczami z dawnych, dobrych czasów? Uchowala się taka jedna na zapleczu portu, trzymali tam jakieś graty, ale Mateusz (na imię mu Mateusz, ale wołają go: 'Mat', od imienia oczywiście, ale także i dlatego, że niby marynarzem był i po wielkich wodach pływał. Kto go tam wie, może tylko takie bajania...) więc Mateusz uporządkował ją trochę i jakoś tam żyje. Zatrudnił się w porcie na sezonowego (to wiem od Henryka, który z kierownikiem portu, Chmurą, jest w dobrej komitywie; ja tam tego gburą nie lubię, pięć lat już tu jest, a jeszcze do mnie na sernik nie zaszedł...) i wiesz, co Chmurze na dzień dobry ten Mateusz powiedział: 'To pan mnie musi słuchać. Gdy ktoś jest lekarzem albo kapitanem okrętu – należy mu się posłuszeństwo. Ja jestem właśnie takim kapitanem okrętu'. Dziw, że go kierownik od razu na pysk nie wyrzucił. Widać czuje jakiś respekt przed starym.

No więc – mieszka tam nad rzeką (trochę jak ten pies) i pracuje. W porcie go nawet lubią, bo chociaż robota mu się w rękach nie pali, to ciągle jakieś niestworzone historie opowiada i podobno mają tam z nim niezły ubaw. A po pracy po mieście się włóczy, łazikuje, to tu, to tam; na Rynku, na ławeczkach koło fontanny, w parku nad rzeką albo koło starego młyna przesiaduje (okoliczne psy i koty dokarmia, więc ciągną za nim jak za panią matką), wszystkim dogaduje i ze wszystkiego się naśmiewa. Wszędzie zagląda i nikomu nie przepuści, jakby miał jakąś misję do spełnienia. Mówi, że ludzi szuka.

Zaszedł raz ten cudak do Magistratu, rajcy na posiedzenie zbierali się i wszyscy tkwili jeszcze w westybulu na dole. Też akurat tam byłam, bo debata miała być nad sprawą, która mnie mocno obchodzi (skarpe na rzeką mają zniwelować, bo rurociąg tamtędy pójdzie, a to przecież nie tak daleko od mojego domu). Wszedł na schody, postukał kijem (zawsze z taką sękatą lagą chodzi) i tak do nich zagadał: 'Jestem Mateusz, może mnie już znacie. Mam z wami taki drobiażdżek do obgadania. Można? Otóż – wszystko jest w rękach bogów, czyli w waszych rękach, nieprawdaż, panowie radni?', a gdy mu (krzywiąc się nieco) przytaknęli, dodał: 'To po pierwsze, po drugie: tacy ludzie jak ja są waszymi przyjaciółmi, bo ja, bo my – to wasz elektorat, czy źle mówię?', a gdy znów paru pokiwało głowami, wyjaśnił: 'Przyjaciele zaś mają wszystko wspólne. To prawda oczywista. Ergo: wszystko należy do takich jak ja! Przygotuję na jutro listę rzeczy, które byłyby mi potrzebne i które musicie mi załatwić'. A gdy go woźny z Ratusza wyrzucał, krzyknął jeszcze do nich, stojąc na pięknym dywanie, który niedawno sobie sprawili w holu przy wejściu: 'Depczę więc waszą pychę, panowie radni. Nie żegnam się, bo jeszcze tu wrócę'. Uśmiełam się, nie powiem. Inni mieli nietęgę miny, chyba nic nie rozumieli.

Zajrzał i tutaj, do mnie, w ostatni wtorek, gdy mieliśmy spotkanie kawiarenki literackiej. Usiadł sobie z tyłu, zamówił kawę i ciastko. Zaproszony gość czytał swoje wiersze, czytał i czytał; nudne to było strasznie. Zbliżał się chyba do końca, ale jeszcze parę kartek tkwiło w jego rękach. Nagle nasz Mateusz wstał i głośno powiedział: ‘Odwagi mężowie, już widzę ład’. Nie muszę dodawać, że gość (a to sławna postać i dla literatury naszego regionu wielce zasłużona) wyjechał ciężko obrażony. Potem był jeszcze koncert gitarowy, tego okropnego pana Jasia, który w domu kultury uczy gry na instrumencie (w końcu musiałam, rozumiesz...). Nie lepszy koncert niestety niż poezja, bywają takie nieudane wieczorki, wiesz sama. Wszyscy się potem krzywili, jeden tylko Mateusz – o dziwo – go chwalił. Zapytałam, dlaczego tak chwali. ‘Za to – moja paniusiu – że mając taki wygląd, nie został bandytą, lecz uprawia muzykę’.

Jeszcze? Dobrze.

Po koniec czerwca, pamiętasz, Olchowiec będzie organizował przegląd zespołów ludowych. W ostatnią sobotę była próba generalna. Na Rynku. Nie byłaś? Żałuj. Więc tak: ci z Praszyc przyjechali w strojach, które złotem kapaly. Gdy wyszli na scenę nasz Mat (siedział jak zwykle przy fontannie) krzyknął na cały plac: ‘Ostentacja, po prostu ostentacja’. Ci z Radzyna – odwrotnie – nie przywieźli żadnych strojów i wystąpili, jak stali. Mateusz ryknął spod fontanny: ‘A to – moi państwo – inny rodzaj ostentacji’.

I tak, gdzie może, to się wtrąci, każdemu łatkę przypnie, ludzi poucza, wszystko komentuje. Jak na zwyczajnego portowego robotnika – przyznasz sama – nieźle sobie poczyną”.

– Nieźle sobie poczyną. Przy tym bezwstydnym jest i za nic ma dobre obyczaje; do kościoła nie chodzi (proboszcz go nie widział), z naszej pięknej fontanny chlewik robi, w knajpach pije na umór (szczególnie lubi tawernę nad rzeką), z Józką, tą z warzywniaka – znasz ją, zdzira jedna – prowadzi się, o s t e n t a c y j n i e na Rynku ją obściskuje, jakby wstydu nie miał. Dziad jeden – Emilia pokręciła głową. – Jak jaki m e n e l. A na poezji i muzyce niby się zna. Mówił mi, że najbardziej lubi czytać Kawafisa Greka. I bądź tu mądry, człowieku. Oczy masz okrągłe jak dwa piąćki, Joasiu. Czy ty aby nie za bardzo nim się interesujesz?

Taki popołudniowy niedzielny spacer dobrze robi na trawienie. Co z tego, że sama? Od kiedy jej Waldek wyprowadził się, chodzi sama na spacer, więc się przyzwyczaiła (w lipcu będzie piętnaście lat, jak wyjechał z tamtą). Samotny spacer ma tę przewagę, że można sobie poukładać w głowie różne sprawy, spokojnie, jak klocki, jeden na drugim, i nie traci się czasu na puste gadanie. Rynek, park, młyn. Jej ulubione miejsca. Ciepło, nawet gorąco. Dobrze, że

ubrała tę białą koronkową bluzkę, staruszcze przyda się wietrze. A może jednak trzeba było przymierzyć tę nową, w żółto-czarne grochy? W sam raz na taki upał. Bo słońce przygrzewa dziś jakby to już lato było, a tak się maj ponuro zaczynał. No trudno, dwóch naraz przecież nie włoży. Może pójdzie nad rzekę, na molo? Pospaceruje brzegiem, wzdłuż portu, na kamienistej plaży porzuca kaczki na wodę. Jak kiedyś. Gdy żył Jakub. Gdy jeszcze wszystko było jutrem, a nie dniem wczorajszym. Kiedyś potrafiła rzucić i dwadzieścia kaczek. Kiedyś.

– Spodziewałem się paniusi już w tamtą niedzielę – dźwignął się na łokciu.

Leżał w hamaku, który rozwiesił między beczką („bezczelny typ i naprawdę mieszka w beczce”) a wysokim jesionem („jesiony lubią wodę”, tak mówił Jakub). Daszek czapki oprychówki zasłaniał mu pół twarzy („nieogolony, choć to niedziela”), koszulę miał rozpiętą i Joanna zauważyła (a przecież nie patrzyła na niego wcale), że tors Mateusza ma zupełnie owłosiony („fe, jak małpa, tego nie lubi, no tak, ale co ją to właściwie obchodzi?”).

– Ależ gorąc, napije się pani zimnego piwa? Chłodzę w rzece. I dajmy spokój ceregielom. Mów mi Mat, Joanno. Na imię masz Joanna, prawda? Zostań tam, gdzie stoisz, zasłaniasz słońce, a ono dziś praży niemiłosiernie. Parę dni temu był tu ten wasz burmistrz. „Przyszedłem zobaczyć (głos Mateusza zrobił się piskliwy), jak mieszka nasz nowy olchowiecki *enfant terrible*”. Aulfant terribel. Cymbał. Sykofant. „Panie... Panie Mateuszu, czy mogę coś dla pana zrobić?”. „Tak, niech mi pan nie zasłania mi widoku na skarpe. Buldożer właśnie wrywa z ziemi ostatnie olchy. Ciekaw jestem, czy coś z nich wylezie. Ludzie mówią, że w tych olchach mieszkają złe moce. Teraz im zabierają dom, więc zastanawiam się, gdzie TO się podzieje? Może pójdzie sobie z Olchowca na dobre?”. To ja. A on cienkim głosem: „Jakby pan jednak czegoś potrzebował – proszę zgłosić się do naszej opieki społecznej. Mamy stosowne fundusze. Muszę niestety prosić pana o... pewien... umiar. W zachowaniu i opiniach. Nasza cierpliwość ma jednak swoje granice”. Cymbał. I dalej: „Już tu byli tacy, którzy nas próbowali prostować. Jeden ksiądz. Dziennikarka. Wyjechali. No tak, więc gdyby pan czego potrzebował...”. Cymbał. Jest jak cytra, która wydaje dźwięk, ale sama go nie słucha ani na jego piękno nie reaguje. Cymbał. Wiesz czemu daje się jałmużnę żebrakom, a nie daje filozofom? Bo ludzie liczą się z możliwością, że będą kiedyś ułomni albo ślepi, a nie spodziewają się natomiast zostać filozofami. Ten wasz burmistrz jednak ma zamiar być mędrce. To chyba pierwszy taki przypadek...

– Mateuszu – przerwała potok wymowy.

– Tak?

– Napiję się piwa. Pod warunkiem, że mi odpowiesz na parę pytań.

„A cóż to? Spowiedź? Niby w jakim celu? Pytasz mnie, kim naprawdę jestem i co tak naprawdę myślę? Na pierwsze pytanie nie odpowiem, bo mi się nie chce. I dlatego, że to głupie pytanie. Na drugie... Pij z gwinta, o tak właśnie, solidnie. Kufli nie mam, szklanki chyba brudne, a w ogóle to piwo najlepiej smakuje prosto z buteleczki. Czy dużo piję? Tylko, gdy mam ochotę. Biedak je i pije kiedy może, a bogacz, kiedy chce. A ja jestem bogaczem, Joanno. Nie widać? Kto patrzy, ten widzi. Czemu piję w knajpie? Zmiłuj się, przecież u fryzjera się strzygę... Wszyscy się ze mnie śmieją? Po pierwsze, kto to są owi ‘wszyscy’? Ty przecież się ze mnie nie śmiejesz? Po drugie, a może z nich (tych twoich ‘wszystkich’) osły się śmieją, a oni na osły nie zwracają uwagi, tak jak ja nie zwracam uwagi na nich. Czy wierzę w Boga? Joanno! Jakże miałbym nie wierzyć, kiedy o burmistrzu i jeszcze paru ludziach wiem, że ich Pan Bóg nie kocha.

Co jeszcze? Nie, rodziny nie mam – ani żony, ani dzieci. Żonę chyba kiedyś miałem, dawno temu. Już zapomniałem, jak miała na imię... Nie, wegetarianinem nie jestem, choć chciałbym nim być. Cierpienie zwierząt mnie boli, lecz mój brzuch boli mnie także. Chyba nawet bardziej. Gdyby tak dało się głód zaspokoić przez pocieranie, jak pożądanie. A właśnie. Józka. Miła dziewczucha, cycki ma mięciutkie i laskę mi robi, gdy ładnie poproszę. Nawet na Rynku wieczorem, gdy olchowczanie leżą w swoich łózkach i sami sobie dogadzają, bo ich kobiety już o nich nie myślą. Zamarzły bidule. Coś się tak spłoniła?

Skąd przyjechałem? Pamiętasz ‘Siedmiu Wspaniałych’? Stamtąd. Dokąd pojedę? Tam. Jestem kosmopolitą, obywatelem świata. Oto kim jestem. Jednak – koniec, końców – masz odpowiedź na pierwsze pytanie. Zasadą moją jest nie przywiązywać się do świata za bardzo. Dlatego chwaleb tych, którzy chcą się żenić i się nie żenią, którzy chcą wyruszyć w drogę i nie wyruszają, którzy zamierzają zająć się polityką, lecz się nią nie zajmują, chcą założyć rodzinę, lecz jej nie zakładają. Pytasz, kto więc mnie pochowa? Ten, kto będzie potrzebował mojego domu, to pewne. W tym przypadku – becзки. Wiele nie zarobi. Bo – Joasiu – właściwością bogów jest nie potrzebować niczego, właściwością ludzi, którzy chcą im być podobni, jest potrzebować niewiele.

Jak piwo? Jeszcze jedno? No pewnie, że mam. A siądziesz tu przy mnie bliżej? Hamak szeroki, wygodny. Nie bój się, z drogi nie widać. Jaka ładna ta twoja bluzka. Teraz ty opowiedz mi o sobie...”

Mateusza pokąsał pies, czarny kundel, który krążył zawsze w sporej odległości od reszty dożywianego przez niego niesfornego stada. Jakże inaczej mogło skończyć się to jego bratanie z wszystkimi bezpańskimi czworonogami. „Psa pogryzł pies! Psa pogryzł pies!” –

krzyczały dzieci. „Samiście psy, skoro tak mnie obstąpiliście. Macie szczęście, wisusy, że nie jadam botwinki, wrrrr”, odgryzł się rzecz jasna, ale do szpitala na założenie opatrunku pójść musiał. Joanna, czekając na Mateusza w szpitalnym holu (zadzwoił do niej z izby przyjęć), zauważyła z niejakim zdziwieniem, że myślenie o mężczyźnie po raz pierwszy od wielu lat nie jest jej całkiem przykre. Złościł ją i denerwował, irytował tymi swoimi „mądrościami”; jego programowa abnegacja wydawała jej się nieco na pokaz, chociaż musiała przyznać, że próbuje żyć według głoszonych zasad (jeśli to były zasady). Olchowczanie lubili go nawet, stał się dla nich malowniczym dodatkiem do krajobrazu. Czasem ktoś oburzał się na jego złośliwą zaczepkę (Mateusz język miał ostry język jak ta jego brzytwa, której zresztą używał znacznie rzadziej), czasem komendant groził mu palcem, czasem jeden z radnych zbierał się do przygotowania odpowiedniej „interpelacji”, czasem ktoś go z knajpy wyrzucał. Jeden z artystów, którzy przyjeżdżali do Olchowca na wiosenno-letnie plenery, pokazał na wernisażu (nawet zaoferował się zostawić „dla miasta”) rzeźbę, w której każdy łatwo rozpoznał Mateusza – po czapce, po kiju, po płaszczu, po jego wielgachnych, rozczłapanych buciorach. (Artysta ów, rozczarowany nieco, zabrał w końcu rzeźbę ze sobą, bo rajcy od kultury inny rodzaj sztuki uradzili popierać).

Joanna odwiedzała Mateusza nad rzeką, najpierw po kryjomu, wieczorami, gdy portowe życie już zamierało, przemykając się trwożliwie w cieniu szerokich dachów i gałęzi drzew lipowej alei, potem, poczynając od pewnego pamiętnego dnia, zgoła o s t e n t a c y j n i e (jaką to słowo ma pojemność). Emilia zagadnęła ją wtedy nieoczekiwanie w księgarni pana Piotra: „Moja droga Joasiu, czy masz świadomość, że on któregoś jesiennego poranka wyjedzie stąd na zawsze? Czy myślałaś już o tym? Czy ty w ogóle jeszcze myślisz? *A propos*, przeczytaj koniecznie te opowiadania, co to ci mówiłam... To o miasteczku takim jak nasze. Napisał to Marek, ten pisarz z sanatorium za miastem”. Więc od tego dnia począwszy Joanna odrzuciła wszystkie zahamowania i opory, co też wyłuszczyła Mateuszowi natychmiast. „Widzisz przed sobą kobietę, która ma już, hm, swoje lata. Niestety, nie się da sprawić, by ‘ku źródłom płynęły rzeki’¹. Więc, ta kobieta postanowiła zastąpić ulotne złudzenia, które w jej wieku są całkiem nie na miejscu, są wręcz śmieszne, na coś, co trzyma się mocno bujnej, rozgrzanej słońcem ziemi. Co ja tu plotę, Mateuszu...”. Koleżanki Joanny i jej różni znajomi przyglądali się temu z niejakim zdziwieniem, pukając czasami w czoło i wzruszając ramionami. A Mateusz? Któż wiedział, co chowa pod szerokim daszkiem swojej oprychowy? W każdym razie – z Józką z warzywnego już się nie spotykał, w knajpach pił ledwie dwa lub

¹ Eurypides, *Medea*, tłum. Jan Kasprowicz.

trzy kieliszki, stare skórzane buty zamienił na nowe zamszowe trzewiki, przestał nawet wrzucać śmieci do olchowieckiej fontanny (przesiadawał przy niej jak dawniej, tyle że teraz towarzyszyła mu często Joanna) i wyraźnie hamował język (przynajmniej wtedy, gdy czuł na sobie jej surowy wzrok).

„Czy masz świadomość?”. Ciepła wiosna zamieniła się niepostrzeżenie się w gorące suche lato (upalne lata w okolicach Góry stawały się już niemal regułą), a lato przeobraziło się w pogodną jesień. „Czy masz świadomość?”. Miała. Nie miała. Na początku października Mateusz obudził Joannę nad ranem, otworzył szeroko (pomimo jej gwałtownych protestów) drzwi beczki i ogłosił: „Przymrozek”. Powiało chłodnym, rześkim powietrzem. „A skoro przymrozek, pora ruszać. Niedługo mróz zetnie rzekę i zamkna port na parę miesięcy. Mróz ścina także i mój angaż. Zatem – pora ruszać. Czy pojedziesz ze mną, Joanno?”.

Nie, to jakiś absurd. Nawet jeśli jest jakaś „meta” w Krakowie, nawet jeśli odłożył trochę oszczędności i ma (może i niegłupi) pomysł na zimową pracę – jaka to gwarancja normalnego życia? Po ludzku zwyczajnego. A co z jej mieszkaniem tutaj? Co z jej przyjaciółmi, co z koleżankami ze szkoły, co z księgarnią, w której można i poczytać, i kawę wypić, i o nowościach pogadać, co z jej ulubionym kinem, które w każdy czwartek wyświetla stare, zapomniane już przez wszystkich, tylko nie przez nią i jeszcze paru takich jak ona, filmy, co z pachnącą miodem aleją nad rzeką, co z porannymi rogalikami od Karolczaka, niedzielną mszą o dziesiątej i herbatką u proboszcza, co z wtorkową literacką kawiarenką. „Chyba oszalał. No, powiedz coś, Emily!”.

Usiadła w poczekalni. Jeszcze dobre pół godziny do odjazdu, ona jednak wolała przyjść wcześniej. Od zawsze męczy ją *Reisefieber* i dziś wcale nie jest lepiej. Jakie te walizki ciężkie, dobrze, że wzięła taksówkę, choć to tylko kilkadziesiąt metrów. Mieszkanie dobrze zamknęła, zakręciła wodę, kota i kwiaty zabrała sąsiadka. Biedny Pan Kot, mrucał żałośnie, kiedy go głaskała. Skąd te zwierzaki to wiedzą? Szkoda, że Ilona jest alergiczka. Sąsiadka ma klucze, więc zajrzy od czasu do czasu, dom przewietrzy, kaloryfery posprawdza. Uff, gorąco. Przesunie chyba te walizki, nie mogą tak stać na środku. Czy aby wzięła wszystko? Ostatecznie zamierza spędzić u siostry prawie całą zimę. Biedna Ilonka, sama teraz jak palec w tym Krakowie, a jeszcze choróbsko do niej się przyplątało. No, ale ma przecież siostrę! Która nie może odmówić pomocy w potrzebie. Ludzka i chrześcijańska rzecz pomagać. A co dopiero rodzinie. Gorąco. Odwinęła się z długiego szalika, rozpięła płaszcz pod szyją. Po co oni tak grzeją, przecież nie jest jeszcze zimno. Dopiero początek grudnia i ledwie dwie kreski poniżej zera. Góra na razie jest dla nich łaskawa.

Rozejrzała się po sali. Ale tu dziś tłoczno. Chyba cały Olchowiec wyjeżdża pospieszonym do Krakowa, 11.12. I staruszek dobrodziej jest, siedzi podparty laseczką; pewnie jedzie szukać miejsce w domu dla emerytowanych księży. Ciekawe, jaki będzie ten nowy, co go po Nowym Roku mają przysłać? Czy tam przy kasie to nie jest Emilia? Oczywiście, to ona. W pięknym białym kożuchu i futrzanej czapie. Wspomina coś o przeprowadzce do większego miasta. „Perspektyw tu nie ma żadnych. Kopalnię wnet zamkną i nawet sanatorium już tylu pacjentów nie przyjmuje, co dawniej”. Emilia, kochana Emilia, a koło niej... Aneczka! Natasza! Ha, w końcu siostry artystki wypełzły z doliny. Świat o nich zapomniał, ale one o nim chyba jeszcze nie. I Piotr antykwariusz też jedzie. Ledwo już chodzi, nogi wysiadły mu zupełnie. I ten jego kaszel... Mówił jej ostatnio, że pora mu zamykać księgarnię, bo ledwo na podatki wystarcza, a sił ma coraz mniej. Ciekawe, co zamierza. Podobnie jak ona, spędził w Olchowcu chyba z pół życia. Nogi mu wysiadają, a jeszcze sam pcha człowieka na wózek. Chyba gdzieś tego biedaka widziała, może właśnie u Piotra w księgarni? Nie Marek to czasem, ten pisarz? O, a tamten młody w kurtce z misiem, z torbą na ramieniu to chyba Krzysztof od Selinów, miasteczkowy buntownik i rogata dusza. A może to nie on, a podobny tylko? Od tyłu trudno rozpoznać. Więc wszyscy się zbierają, wszyscy gdzieś ruszają. Tylko Henryk z Martą zostaną na swoich rozstajach. „Czy nam tu źle, Joasiu? Na swoim jesteśmy, ludzie nas szanują, zdrowie dopisuje, mniej lub bardziej, jest co do garnka włożyć, więcej nam nie trzeba. My – jak stare drzewa”.

Troje ludzi, mężczyzna i dwie kobiety, jedna starsza, druga młodsza, weszło tymczasem do poczekalni głośno przytupując. „Więc w końcu jesteśmy. Ależ ten autobus się włókł. I jeszcze ogrzewanie wysiadło. Zgroza. Sprawdź, kochana Niko, o której mamy powrotny. Ja tymczasem popytam, gdzie jest ta agencja nieruchomości”.

„Zatem są i nowi. No, pora się zbierać, zaraz podstawią autobus. Już za dwie godziny zobaczy Ilonkę. Ilonkę! Wycalują się, posiedzą, pogadają, a potem pójdzie na miasto. Nad Wisłę, na Rynek. Na prawdziwy Rynek. Zanurzy się w krakowskie uliczki, poodycha wilgotnym krakowskim powietrzem. Może już dziś uda się go spotkać?”.

na motywach: Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy wielkich filozofów*, PWN, Warszawa, 1984, tłum.: Witold Olszewski przy współpracy Bogdana Kupisa oraz Irena Krońska, Kazimierz Leśniak.